ROK DRUGI.

—

№ 37.

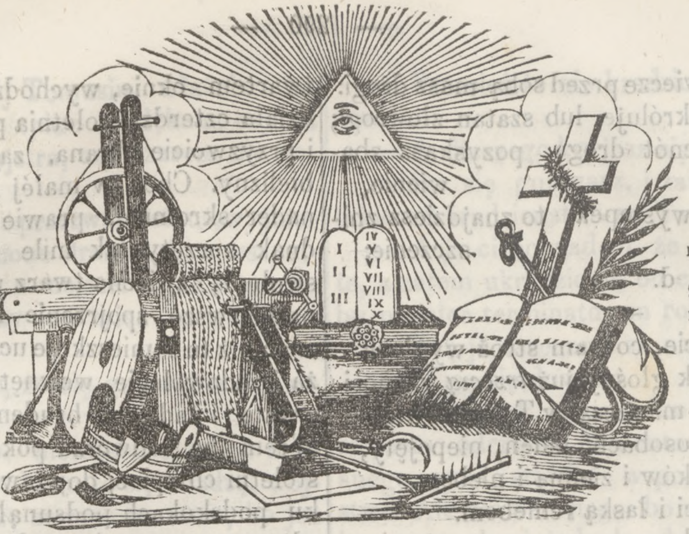
Warszawa

Dnia 1 (13) Września

1857.

Niedziela

14 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Słuchaj słowa Bożego, a o tysiąc słów ludzkich dbać nie będziesz. Jeśliś winny, myśl, że chętnie do poprawy kwapić się powinieneś; jeśliś na sumieniu czysty, staraj się znieść to dla Boga z ochotą. (O naśl. Chr. K. 3 R. 46).

Wywoływanie godzin przez stróża nocnego.

—

Héj bracia! słuchajcie, co wam stróż wygłosi:
W powietrzu dźwięk głośny *dziesiątą* roznosi.
Tyś *dziesięć* przykazań dał nam Wielki Boże!
Które człowiek pełniąc, szczęśliwym być może.
Ale wesprzyj Panie nas w każdéj potrzebie,
Jak o nas zapomnisz, wnet zginiem bez Ciebie.
Nasze ludzkie siły nie są dostateczne,
Więc Boże! twe wsparcie jest dla nas konieczne,
Byśmy z świętéj Twojéj mocy,
Użyć mogli dobréj nocy.

—

Héj bracia! słuchajcie, co wam stróż wygłosi:
Jednastą dźwięk głośny w powietrze roznosi.
Jedenastu uczni za Pana szło głosem,
Chociaż ich karano i krzyżem i stosem;
My za ich przykładem patrząc w godło wiary,
Za ciężkie wciąż winy, ciężkie znośmy kary.
Lecz że ludzkie siły nie są dostateczne,
Więc Boże! twe wsparcie jest dla nas konieczne,
Byśmy z świętéj Twojéj mocy,
Użyć mogli dobréj nocy.

—

Héj bracia! słuchajcie, co wam stróż wygłosi:
W powietrzu dźwięk głośny *dwunastą* roznosi.
Dwunastu wciąż uczni otaczało Pana,
Lecz jeden z nich, Judasz, wpadł w szpony szatana,
A Chrystus swą śmiercią niewinną to sprawił,
Iż z mocy szatana świat cały wybawił.
Lecz że ludzkie i t. d.

—

Héj bracia! słuchajcie, co wam stróż wygłosi:
W powietrzu dźwięk głośny już *pierwszą* roznosi.
Ach! *jeden* na niebie Ty jesteś mój Boże!
Co władasz bezsprzecznie na całym przestworze,
Coś nie miał początku, co nie znasz i końca,
Choć zginą i ziemia i gwiazdy i słońca.
Lecz że ludzkie i t. d.

—

Héj bracia! słuchajcie, co wam stróż wygłosi:
W powietrzu dźwięk głośny już *drugą* roznosi.

Dwie tylko człowiecze przed sobą masz drogi:
Gdzie Chrystus króluje, lub szatan złowrogi;
Gdy pojdziesz cnót drogą, pozyskasz zbawienie,
A wpadniesz w występek, to znajdziesz zniszczenie;
Lecz że ludzkie i t. d.

—

Héj bracia! słuchajcie, co wam stróż wygłosi:
W powietrzu dźwięk głośny już *trzecią* roznosi.
I *trzy* się osoby mieszczą w Trójcy Świętéj,
A w trzech Bóg osobach, jeden, niepojęty,
Co rządzi od wieków i ziemią i niebem,
I darzy swe dzieci i łaską i chlebem.
Lecz że ludzie i t. d.

—

Héj bracia! słuchajcie, co wam stróż wygłosi:
W powietrzu dźwięk głośny już *czwartą* roznosi.
Czterech świętych mężów (1) Boskie słowa zbiera
I w księgach je świętych starannie zawiera,
I tyleż praw wielkich kościół nam podaje.

—

Lecz tego spoczynku na dzisiaj już dosyć,
Już słonko na niebie zaczyna się wznosić;
A więc każdy wstaj do pracy,
I panowie i biedacy,
Ten z pościeli, ten z barłogu,
I złóż naprzód dzięki Bogu,
Że'ć użyczył swej pomocy,
Abyś użył dobréj nocy.

—

Héj bracia! słuchajcie, co wam stróż wygłosi:
Dalejże wstawajcie, już słonko się wznosi;
Pan na świat przyszedłszy, pracę uszanował,
Wraz z świętym Józefem siekierą pracował;
Więc każdy niech spieszy, do pracy już pora,
Odpocznie znów sobie, jak dojdziem wieczora.
Lecz tego spoczynku na dzisiaj już dosyć i t. d.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

—

V.

Od łyczka do rzemyczka,
A będzie szubieniczka.

Lat temu dwadzieścia, w małym drewnianym domku przy ulicy Tamka w Warszawie, w otwartem oknie, wychodzącem na podwórze siedziała czterdziestoletnia przeszło kobieta, czysto i przyzwoicie ubrana, zajęta pilnie cerowaniem bielizny. Choć w małéj izdebce było i ciasno i nader skromnie, prawie ubogo; wszystkie jednak sprzęty tak mile wpadały w oko, taką swobodą świeciła twarz pracującéj kobiety, że na pierwsze spojrzenie łatwo można było poznać, iż tu zamieszkuje uczciwa praca, bojaźń Boża i zadowolenie wewnętrzne, jakie daje tylko czyste i żadnym brudem nieskalane sumienie. Wtem na podwórzu pokazał się młody trzynastoletni chłopiec; dojrzawszy on siedzącą, w kilku podskokach podsunął się pod samo okno, i zdjąwszy czapeczkę, jedną ręką otarł zroszone potem czoło, drugą zaś wkładając do izdebki, rzekł:

— Matulku kochana, dajcie rękę swemu Tomusiowi.

— O! ty sowizdrzale, składając robotę, odezwała się matka, tak się przestraszyłam. Ale gdzież to idziesz?

— Posłał mnie majster z robotą do jednego pana, i...

— Jak się to zmęczył, jak spocił, przerwała matka, i z uczuciem serdecznego przywiązania poczęła chłopaczkowi gładzić włosy, ocierać czoło, a ten co kilka słów całując matce ręce, ciągle trzepał:

— Ten pan matulku kochana, dał mi złoty i nazwał mnie młodym zuchem; wracając więc od niego, wstąpiłem do matulki, żeby się tą złotówką podzielić, i ot dla matulki piętnaście groszy, i dla mnie też piętnaście—a wie matulka, co ja z niemi zrobię?

— No! cóż takiego?

— W niedzielę pójdę na Saską-kępę z Franusiem, tam będziemy się wozić na karuzelu, choćby całe popołudnie. Kupimy sobie obwarzanków, mleka, a potem pierników, i...

— I to wszystko za tego półzłotka?

— O! prawda, odrzekł Tomek i skrobiąc się w głowę, mówił daléj z pewnym frasunkiem: trochę to zamało, ale zawsze na karuzel wystarczy.

— Weź całą złotówkę mój Tomusiu, odrzekła matka, całując syna w głowę; poczciwe z ciebie dziecko, że o matce zawsze pamiętasz.

—Oj! pamiętam mateczko, pamiętam, i oto przyniosłem jeszcze z warsztatu jedwabiu, nici, igieł, kilka kawałków sukna; niech matulka to weźmie, to się zda do naprawy i cerowania.

(1) Czterech Ewangelistów.

— Dziękuję ci mój Tomusiu, właśnie miałam pójść kupić nici; tylko się lękam, czy to wszystko z wiedzą majstra, czy czasem nie pokryjomu?...

— A niech Bóg broni! przerwał Tomuś, wyjmując z kieszeni przyniesione drobiazgi; to wszystko dali mi czeladnicy, a majster o takie rzeczy nie dba, i czy wie, czy nie wie, to wszystko jedno.

— Ale ojciec, wiesz, że się gniewał o to i zabronił...

— To też mateczko, nietrzeba ojcu nic mówić, bo takie rzeczy w domu to się zdadzą, a ojciec zwyczajnie gdérze zawsze na mnie, bo już się tak przyzwyczaił.

— A boś małe ladaco! nagle odezwał się głos tuż przy rozmawiających, bo cię matka pieści, cacka jak jedynaka i wszystko ci potakuje.

Tomek obejrzał się, poczerwieniał z uszami, a matka równie zmieszana przykryła robotą przyniesione dary.

Nowo przybyły był to poczciwy Walenty Nowik, ojciec Tomka, utrzymujący się ze służby lokajskiéj, i gdy żona zarabiała praniem i szyciem, on znowu obsługiwał kilku kawalerów, i każdy grosz poczciwie wysłużony obracał wiernie na potrzeby domowe, zaledwie urywając z nich po parę dziesiątek miesięcznie na tabakę.

Kiedy wszedł do izby, Tomka już nie było przy oknie; nic nie mówiąc, zaczął się z widocznym frasunkiem przechadzać po stancyi. Walentowa spojrzała raz i drugi na męża, a widząc, że ciągle zachowuje uporczywe milczenie, po małéj chwili odezwała się:

— Mój kochany, już ja widzę, że się coraz większym robisz marudą; Tomuś, co nas tak kocha, co takie poczciwe ma serce...

— Będzie jednak szubienicznikiem, przerwał niecierpliwie Walenty; pieścisz go, psujesz we wszystkiem, wierzysz każdemu jego słowu, a ja ci powiadam, że kiedyś sama na siebie, jeżeli się w tem nie odmienisz, krwawemi zapłaczesz łzami.

— Ja z przyczyny naszego Tomusia? z największem zadziwieniem zapytała Walentowa, co się z tobą dzieje?

— Słuchaj Jagusiu, odrzekł na to Walenty, biorąc żonę za rękę, co to znaczą te rupiecie, coś je przedemną zakryła?

— Przecież to nie kradzione, tylko podarowane.

— A dlaczego kryjesz się z niemi?

— Bo się gniewasz, i zawsze przypuszczasz takie szkaradzieństwa na Tomusia, że aż strach.

— A ja ci powiadam, że są potajemnie wzięte, a zatem ukradzione; bo czyż to podobna, żeby majster terminatorom robił takie podarunki?

— Już ja zaręczam za naszego Tomusia.

— Więc się dowiem.

— Tak, tak, tego tylko brakowało, z oburzeniem odrzekła Walentowa, żebyś sam własnego syna stawiał w posądzeniu o złodziejstwo. Ale nic dziwnego, bo choć to jedyne dziecko nasze, ale ci jednak solą w oku, i żebym nie ja, tobyś już dawno o nim zapomniał, a nawet znienawidził...

— Żono, co też gadasz?

— Ja wiem, co gadam, zanosząc się prawie od płaczu, odrzekła Walentowa; choć Tomuś ma ojca, ale jest jak sierota... O! moje biedne dziecko, o mój Tomusiu! co ty poczniesz, jak ja zamknę oczy? Ojciec jakby nie ojciec, zawsze na ciebie, zawsze wszystko złe w tobie upatruje, a przecieć Bóg świadkiem, że poczciwszego, lepszego, i bardziéj kochającego dziecka, nigdzie na świecie nie znajdzie.

Próżno Walenty tłumaczył, uspokajał płaczącą, wszystko to nietylko nie pomagało, ale nanawet powiększało płacz i łkania rozżalonéj matki. A wreszcie zniecierpliwiony wyrzekłszy:

— No rób, jak chcesz, ale pamiętaj o tem, com ci powiedział, wybiegł na podwórze.

W kilka dni po téj przykréj między Walentami rozmowie, Tomek ubrany skromnie, ale czysto i cało, ze złotówką w kieszeni, z dwoma równymi w wieku towarzyszami, znajdował się na Saskiéj-kępie. Ponieważ dzień był bardzo piękny, ludzi więc nie brakło, a orzeźwieni świeżem powietrzem, cieniem licznych drzew, i miłą wonią łąk, z zajęciem przyglądali się licznym tłumom rozsypanym po wszystkich koloniach, używających wiejskiéj swobody, tak pożądanej dla Warszawian. Tomek na co spojrzał, wszystko było dla niego nowością. Tu jak fruczki kręciły się karuzele, tam wznosiły się po nad drzewa chustawki stojące i siedzące, w kręgielniach warczały kule z rumotem przewracając kręgle; po strzelnicach ze sztućców strzelano do celu, głośnemi okrzykami trafny strzał ogłaszając, w izbach szynkowych muzyki wygry-

wały dziarskie polki, skoczne oberki, a tancerze wykrzykując hu! ha! rzeźko wywijali para za parą. Tomkowi na to wszystko ledwo oczy nie wylazły na wierzch, ale czuł, że na to złotówka nie wystarczy, zwłaszcza, gdy i głód zaczął mu troszkę dokuczać. Gdy tak przygląda się, wzdycha potajemnie, i łyka ślinkę, klępnął go po ramieniu Franuś jeden z towarzyszy i rzekł:

— Tomusiu! chodź na karuzel, zagramy sobie partyą.

— A może to bardzo drogo? zapytał niespokojnie Tomek, a ja mam tylko złotówkę...

— Nic się nie pytaj! odrzekł hardo Franuś, ja dziś funduję i koniec.

I wkrótce wszyscy trzéj ze śmiechem, z gwarem kręcili się na karuzelu, co Tomka tak cieszyło, tak wykrzykiwał radośnie, że aż go Franuś musiał uspokajać, przedstawiając niewłaściwość takiego postępowania. Późniéj poszli na huśtawkę; z początku Tomek bał się, ale wprędce oswoił się z tą nową dla siebie zabawą, a gdy usłyszano bębnienie, i ludzie zaczęli biedz w jednę stronę, spiesząc do komediantów ogłaszających tym sposobem rozpoczęcie widowiska, chłopcy skoczyli za drugimi i zaraz stanęli w pierwszym rzędzie pomiędzy licznymi widzami.

Tu już radość Tomka nie miała granic, bo takie wesołe i cudowne pokazywano sztuki, że w głowę zachodził, jak to można wszystko umieć? Z podziwienia więc i radości śmiał się i klaskał w ręce, lecz gdy widowisko już było bliskie ukończenia, i jeden z komediantów z tacką w ręku zaczął obchodzić zgromadzonych widzów, prosząc o datek, co czyja łaska, Franuś pociągnął za połę Tomka, mrugnął potajemnie, i cichutko, zgrabnie, jak lis, kiedy się z lasu przed psami wynosi, wysunął się z koła patrzących, a za nim Tomuś i trzeci towarzysz. Wprawdzie komedianci dostrzegli to, jeden z nich nawet zaczął łajać i miotać różne obelgi, ale Franusia już mało to obchodziło; śmiał się więc tylko, gdy słowem przykrem miotano, wkońcu pokazał język i zaśmiał się na całe gardło.

— Widzicie, co to mądra głowa, odezwał się po chwili, kiedy już spory kawał drogi uszli od komediantów, a to się nam ślicznie udało, zabawy mieliśmy po uszy, i to darmo.

— A czyby to dużo trzeba za to zapłacić? zapytał Tomek.

— Ej! niewiele, najwięcéj po piątaku, co czyja łaska; ale ja nie głupi za takie rzeczy płacić, wolę dołożyć co do tego, a będzie mleko z bułkami.

— Panowie! *chybił trafił*, *cetno licho*, odezwał się głos żydka niosącego mały kramik przed sobą napełniony karmelkami, ciastkami i innemi słodyczami; stawka po pięć groszy, przegram wygram, daléj panowie, co to szkodzi sprobować?

— Dawaj żydzie! zawołał na to Franuś i ujął pełną garść karmelków.

— Cetno! rzekł żyd.

Odliczono karmelki i Franuś wygrał. To zachęciło Tomka, pociągnął raz, drugi, i dwie garście karmelków wsypał do kieszeni. Pociągnięto jeszcze kilka razy, żyd się poskrobał w głowę, westchnął, mruknął aj waj! a choć jako przegrani zapłacili po parę piątaków, zawsze jednak wygrana była na ich stronie, tak, że na kramiku znacznie się przerzedziło.

Na tak różnorodnych zabawach całe popołudnie tylko się im mignęło, a gdy mlekiem i serdelkami pożywili wygłodzone przechadzką żołądki, Tomek tak się rozweselił, że śpiewał, skakał, i dokazywał jak małe dziecko, i choć stracił prawie całą złotówkę, nie żałował jednak tego, bo pierwszy raz w życiu zabawił się tak wyśmienicie.

Na drugi dzień zaniosłszy matce w darze wygrane karmelki, opowiedział jéj wszystko, a choć matka połajała go za komediantów, jednak uściskała i ucałowała jedynaka za karmelki, a raczéj za poczciwą jego pamięć o niéj.

Drugiéj niedzieli znowu Tomek był na Kępie z Franusiem, trzeciéj toż samo, i tak się pomału wdrożył do téj przechadzki, że każdy grosz, który dostał od panów za odnoszenie sukien, chował starannie do niedzieli, chroniąc go od najmniejszéj straty, aby tylko w święto było za co pohulać. I tak zeszła cała wiosna i pół lata—grosza jakoś nigdy Tomkowi nie brakło; to dostał, to się zapożyczył, to wyprosił u matki czasem jaką dziesiątkę, dość, że każdéj prawie niedzieli tak się przysposobił, iż miał o czem cieszyć się na Saskiéj-kępie.

Ale wszystko ma swój koniec; a Tomek przyzwyczaiwszy się do próżniaczki i wydatków, już nie czekał święta, lecz wciągu tygodnia trwonił, co tylko gdzie dostał. Pomału więc wszedł w takie długi, że nie było ani czeladnika, ani chłopca, ani nawet znajomego stra-

ganu lub szynku, którymby Tomek nie był winien choć po kilka groszy.

Przyszło więc do tego, że jednéj niedzieli ani grosiczka nie miał przy duszy; pożyczyć już nie było od kogo, bo każdy upominał się o dawniejsze, matkę także zarwał coś na dwa złote, więc także nie śmiał się udać do niéj, zwłaszcza, że się już o to na niego pogniewała, a tu gdzie spojrzy, wszyscy i młodzi i starzy, każdy z wesołą twarzą idzie na spacer; on tylko jeden musi pozostać w domu, bo sama przechadzka przestała go bawić, i bez pieniędzy nie miała już dla niego pociągu. Jak więc sobie pomyślał, że na nudach przyjdzie mu cały ten dzień przepędzić, ów dzień, w którym od pewnego czasu tak wesoło i przyjemnie zawsze się bawił, posmutniał bardzo, i stojąc w bramie a patrząc na licznych przechodniów, omało z żalu się nie rozpłakał, tak mu łzy prawie gwałtem do ocz nabiegały. Wtem uczuł, że go ktoś uderzył po ramieniu; obejrzał się, byłto Franuś.

— Jak się masz? rzekł wesoło, szukałem cię właśnie, chodź, pójdziemy na Czyste, bo tam jakieś sztuki mają dziś pokazywać.

— Nie pójdę mój Franusiu, odrzekł Tomek, spuszczając oczy, bo ani grosza nie mam w kieszeni, a bez pieniędzy...

— Co się troszczysz, przerwał Franuś, kiedy u mnie są, i przy tych słowach brzęknął pieniędzmi, chodź, zobaczysz, jak się zabawimy!

Tomek omało nie wyskoczył z radości, uściskał przyjaciela, i wkrótce z minami buńczucznemi przechadzali się obadwaj po ogrodzie na Czystem, zajadając smacznie ciastka. Nasłuchawszy się muzyki, napatrzywszy się sztuk akrobatów, i przewiózłszy się po sadzawce, napili się piwa i zjedli po parę serdelków z bułkami. Wszystko to naturalnie niezmiernie spodobało się Tomkowi, ale rozważając zrobiony przez Franusia wydatek, i wyrachowawszy, że musiał na to stracić przeszło trzy złote, niezmiernie się zdziwił, zkąd Franuś, choć zawsze więcéj jak on wydawał, nigdy jednak nie był bez grosza? Wracając więc do domu, rzekł do przyjaciela:

— Poczciwy z ciebie mój Franusiu kolega, ale powiedz mi, zkąd ty na to wszystko bierzesz pieniądze? Mnie wprawdzie często grosz jaki wpadnie do ręki, a jednak ani w połowie nie mam tego, co ty. Nauczże mnie tego sposobu mój kochany. Czy wy dla większych panów niż my roboty robicie? Czy też...

—Ej! mój kochany, odrzekł Franuś, rumieniąc się nieco, gdzie jabym się tam na łapówki od panów oglądał. Ot! radzę sobie, jak mogę.

— Ale jak? mój Franusiu!

— A nie wydasz mnie?

— Ej! dziwny jesteś, ja za twoje dobre serce tobym w ogień wskoczył, a nie dopiero...

— No, to czekajże, to cię nauczę, i to rzekłszy Franuś, wyskoczył cokolwiek naprzód, wmieszał się między kilkanaście osób przed nim idących, i w kilka minut smyrgnął na drugą stronę trotoaru, nawołując znakami Tomka ku sobie. Kiedy się przyjaciele połączyli, Franuś wydobył chustkę jedwabną z rękawa i oglądając ją, mówił jakby do siebie:

— Nowa, dali-Bóg nowa, powinien żyd dać za nią przynajmniéj dwa złote.

— Zkądże ją wziąłeś? czy ją znalazłeś? zapytał Tomuś.

— A tak znalazłem, odrzekł Franuś z dziwnym uśmiechem, tylko nie na ulicy, ale w kieszeni u jakiegoś pana.

— Jakto w kieszeni?

— Ej! dziwny jesteś, chciałeś, żebym cię nauczył sposobu, jakim jestem zawsze przy groszu, to cię też nauczyłem.

Tomuś nic już na to nie odrzekł, bo mu tyle myśli napłynęło do głowy, taki go jakiś wstyd czy strach ogarnął, że choć Franuś przez całą drogę śmiał się i weselił, on tylko kiedyniekiedy bąknął jakie słówko, i prawie milcząc, rozeszli się do domu.

W kilka miesięcy po tym wypadku Walenty Nowik ojciec Tomka szedł razem z żoną przez pocztę, zdążając na Krakowskie Przedmieście; kiedy weszli na ulicę, dały się słyszeć krzyki: łapaj złodzieja! Kilku mężczyzn pobiegło w stronę wołania ku Bednarskiéj ulicy, i wkrótce zebrała się znaczna gromada ludzi, wpośród któréj dawały się słyszyć płacz, narzekania, prośby i lamentacye. Powodowani ciekawością Walentowie przybliżyli się do gromadki stojących ludzi, pytając się o przyczynę takiego zbiegowiska?

— Jakiś pan złapał złodzieja za rękę, co mu z kieszeni wyciągał pieniądze czy chustkę, odrzekł jeden z obecnych, a młody łotr! już się bierze do złodziejstwa, zamiast do pracy.

Ponieważ ludzi było pełno i coraz się ich wię-

céj zbiegało, trudno więc było docisnąć się do środka. Domyślano się tylko, że młody niegodziwiec musi leżéć lub klęczéć na ziemi, bo głowy bliżéj stojących były ku dołowi nachylone. Dopiero jak się zjawił policyant i przecisnąwszy się przez tłum, zaczął badać o przyczynę tak licznego zebrania, Walentowie mimowoli wepchnięci zostali do środka, tak, że tuż znaleźli się przy winowajcy. Był to młody chłopiec; siedział na ziemi tyłem do nich obrócony, a jakiś pan silną ręką trzymał go za kołnierz surduta.

— Co on zrobił? zapytał policyant.

— A złapałem go za rękę, jak mi wyciągał chustkę z kieszeni.

— To nie ja, to tamten drugi co uciekł, mówił ciągle z płaczem obwiniony chłopiec, ja...

— Wstawaj łotrze, zawołał policyant, targnąwszy go silnie za czuprynę, wstawaj smarkaczu, *na deresiu* (1) to wszystko wyśpiewasz.

Chłopiec widząc, że tu niema żartów, zerwał się równemi nogami; lecz gdy pierwsze spojrzenie jego padło na Walentych stojących bezwładnie, z bladą twarzą, z napół opłakanym wzrokiem, krzyknął przeraźliwie, zasłonił twarz rękoma i otoczony tłumem ludu, ruszył ze łkaniem przez ulicę ku mieszkaniu komisarza.

— Mężu! na miłość Boską, na rany Chrystusa Pana! zawołała Walentowa, poznawszy w obwinionym własnego syna Tomka, ratuj go, ja ci zaręczam, że on niewinny, że to tylko potwarz, złość ludzka, a on niewinny, bo ja znam dobrze naszego Tomusia.

I rzekłszy to biedna matka, rzuciła się przed mężem na kolana, i rwiąc włosy z rozpaczy, z płaczem i głośnem łkaniem, nogi mu całowała. I znowu zrobiło się zbiegowisko, którego Walenty pragnąc uniknąć, zebrał całą przytomność umysłu, a pocieszając nieszczęśliwą matkę, poszedł błagać sprawiedliwości ludzkiéj za własnym synem, aby mu na starość oszczędzono sromoty i boleści.

Komisarz, który znał dobrze Walentego, dawszy porządne napomnienie Tomkowi, uwolnił go na prośbę i zaręczenie ojca, i wieczorem Tomuś pokorniutki jak baranek siedział w pomieszkaniu rodziców, nie śmiejąc nawet głośno odezwać się, tak się bał gniewu ojcowskiego. Ale obawa ta nie była długą, bo opowiedziawszy całe wydarzenie, według którego był zupełnie niewinnym i o niczem nie wiedział, tak matkę potrafił obałamucić, iż ta zupełnie stanęła po jego stronie, gniewając się i fukając na męża, że temu nie wierzył i ciągle łajał Tomka, obiecując mu sprawić basarunek. Walenty poczciwy ale słaby człowiek, nie mogąc się wreszcie oprzeć robionym sobie wymówkom, wziął czapkę i poszedł do zwykłych swych obowiązków. Po odejściu jego matka rozpuściła wodze swojéj czułości, tak, że Tomek w kwadrans może czasu tak się rozweselił, jakby nigdy nic nie zaszło. Na drugi tylko dzień, kiedy Walenty po obiedzie miał wychodzić, zatrzymał się przed żoną, i ciężko westchnąwszy, rzekł:

— Jagusiu! wiem, że na słowa moje mało dajesz baczenia, ale sumienny zawsze byłem człowiek, sumiennie więc teraz chcę z tobą postąpić. Otóż pamiętaj!...

— No! cóż takiego? cóż takiego? niecierpliwie przerwała Walentowa.

— Otóż chcę ci powiedzieć, zbity cokolwiek z toru mówił daléj Walenty, że jeżeli nie przestaniesz potakiwać we wszystkiem złem Tomusiowi, to...

— Już wiem, już wiem, przerwała Walentowa; szczególna rzecz, że ty tylko złe widzisz w Tomusiu. Dlatego najlepiéj zrobisz, jak się nie będziesz całkiem do niego wtrącał, i mnie wszystko zostawisz. Wychowanie dzieci to nie twoja rzecz, tylko lokajstwo, patrz więc swego, a ja swego, a obojgu nam i Tomusiowi będzie z tem lepiéj.

Na te słowa z uniesieniem powiedziane, Walenty tylko potrząsł głową, skulił ramiona, potem machnął ręką i westchnąwszy ciężko, wyszedł z izby.

Co tam się działo z Tomkiem, nie będę wam poszczególe opowiadał; wiedziałem tylko, że wielki się z niego zrobił ladaco, i że ztąd rodzice najokropniejsze miewali zmartwienia. Dlatego też choć Walentego co dzień widywałem, wiedząc, że każda wzmianka o synie wiele mu robi przykrości, unikałem wszelkiej w tym względzie rozmowy, tak, że pomału i Tomek i jego sprawki zupełnie wyszły mi z pamięci.

PSZCZELNICTWO.

(*Wykład Ant. Żmudzińskiego z dodatkami*).

I. Historya naturalna pszczół.

—

Jak niektóre inne owady, np. mrówki, tak i pszczoły żyją gromadnie, co się u nich *rojem*

(1) To samo, co na *koniku*, t. j. na ławie, na któréj winni chłostę odbierają.

nazywa. Do roju takiego należą: matka, pszczoły robocze i trędy czyli trutnie.

1. *Matka* jest duszą i rodzicielką całego roju; od niéj wszystko zawisło. Pierwiastek matki ten sam, co pszczoły roboczéj, albowiem z każdego jajka lub robaczka na pszczołę roboczą, nad cztery dni nie starszą, mogą sobie pszczoły wychować matkę. Rój pozbawiony swéj matki w czasie, kiedy się w ulu nie znajdują jajka albo zaród stosowny, albo w czasie, kiedy się młoda matka nanowo wylężona zapłodnić nie może, t. j. gdy trędy nie latają, wkrótce zniszczeje, jeśli mu się nie da innéj zapłodnionéj matki, albo zarodu, z któregoby ją sobie wygrzać mogły. Skoro pszczoły w takim stanie będące utratę matki spostrzegą, zaczną żałośnie brzęczeć, niespokojnie latać i po ulu biegać, trzepocąc skrzydełkami. Czasem nawet do sąsiednich pszczół idą matki szukać. Późniéj tracą ducha, chęć do pracy, nie strzegą ula i wszystko w rozprzężenie przechodzi. Gdy zapukasz do ula, wydają one jęk żałosny długo się ciągnący; gdy tymczasem rój zdrowy głośno odpowie na zapukanie i niedługo ucichnie. Pszczoły długo osierocone obierają sobie czasem zwyczajną pszczołę na matkę; to jednak roju od zguby nie wybawi, albowiem ta fałszywa, czyli trutnia matka, tylko trędy płodzić może. Jajka niesie bardzo nieregularnie, nawet w plastry z małemi komórkami. A że komórki te dla trędów są za małe, więc je pszczoły nadstawiać muszą; ztąd powstają *garby*, czyli *garbaty płód*. Takie pszczoły przydaną im matkę zapłodnioną nie zawsze przyjmą, i z podanego zarodu niechętnie sobie takową wychowują. Jeżeli jeszcze są *muszne*, to jest jeżeli mają wiele pszczół roboczych, odstawia się ul taki na bok w oddaleniu, a na jego miejsce inny, choćby słaby rój ze zdrową matką ustawia, a pszczoły do niego się przeniosą. Matka prawa wtenczas dla bezpieczeństwa w klateczce powinna być zamknięta. Trutnia matka nie wyleci z ula i z pozostałemi pszczołami wysiarkowaną być może. Gdyby się pszczoły złączone gryzły, trzeba je mocno podkurzać. Zmacierzałemu (bez matki) rojowi najprędzéj i najpewniéj się dopomoże, dając mu matkę zapłodnioną.

Matkę taką wsadza się do klateczki (1); dziurkę niegrubo suszem zalepia i w bliskości gniazda zarodowego stawia, żeby ją ogrzewać i same wypuścić mogły, albo też zanurzywszy ją całą w płynnym miodzie, puszcza wolno między pszczoły. Takie matki można sobie umyślnie z garstką pszczół w małych ulikach chować na przypadek.

W braku matki wsadza mu się *matczak*, czyli niewylężoną jeszcze matkę w komórce, albo wyrzyna się wśrodku ula zmacierzałego w gnieździe zarodowém kawałek węzy (plaster ociekły), i wsadza w jego miejsce inny kawałek, zawierający jajka i robaczki na pszczoły robocze, wzięty z takiego ula, gdzie jest płodna matka. Pszczoły, jeśli jeszcze trutniéj matki nie polubiły, niebawnie zajmą się wychowaniem matek; rozprzestrzeniają komórki około wybranych poczwarek i na dół je kierują, nakształt żołędzi ku dołowi wiszącéj. W dni 14 matki się wylęgają.

Młoda matka, aby płodną została, musi na grę wylatywać z ula w najcieplejszych dnia godzinach, aby się z trędem wysoko w powietrzu złączyła i na całe życie zapłodniła. Na grze często zginie. Matka latać nie mogąca nie zapłodni się i tylko na trędy nieść może. Pasiecznik więc pilnie na to uważać powinien, aby mu nanowo ul nie zmacierzał. Dobrze jest oznaczyć ul, z którego matka na grę wylatuje, pęczkiem słomy, trawy, piórem, papierem, płatem lub czemkolwiek bądź; matka młoda pilnie na wszystko przy pierwszém wylatywaniu uważa, a wracając, nie wpadnie do innego blisko stojącego ula, gdzieby ją pszczoły zagryzły. Wówczas też przy ulach nic odmieniać nietrzeba, ani stawać tuż przed ulami w czasie przegrywania pszczół, albowiem wtedy młode matki wylatywać zwykły; z boku jednak przypatrzyć im się można.

Wstawiony od spodu kawał węzy z zarodem świeżym, przyspiesza zapłodnienie matki, zapobiega osieroceniu i wywiera dobre skutki na ilość miodu w ulu. *Matczaki* założone w bytności staréj matki, gdy się pszczoły wyroić zamyślają, zawsze się znajdują w osobno do tego przeznaczonych komórkach; w nadzwyczajnym razie, gdy matka nagle pszczo-

(1) Klateczka ta tak się robi: Bierze się topolowa lub wierzbowa gładka gałęź, 1 cal średnicy mająca, narzyna się piłką lub nożem, dwa razy w odległości 1 ½ cala do rdzenia, lub głębiéj. Drzewo między werznięciami wyłupuje się, wygładza, a wziąwszy kawałki drutu, od wyłupanego miejsca o ½ cala dłuższe, wsadza się obcążkami jeden koniec w dno tak daleko, aby drugi jego koniec do drugiego dna bez zgięcia drutu w toż dno wetknąć było można; tak więc drut i w tym i owym końcu klatki czyli dnie siedzieć będzie. Żeby matka głowy pomiędzy druty włożyć nie mogła, i nie udusiła się, trzeba druty wkładać dosyć gęsto. Na jednym końcu klatki wywierca się dziurkę, którą matkę wpuszczać i wypuszczać będzie można. Cała klatka 2 cale jest długa.

łom zginie, lub też wziętą bywa, np. przy dzieleniu (ablegrowaniu), o czem później, zakładają takowe byle gdzie, najczęściéj jednak na brzegach plastrów. Pszczoły mocne, które tak niespodziewanie matkę straciły, lubią się roić po 14 dniach, kiedy się młode matki wylęgają. Chęć rojenia wtenczas poznać można po pisku młodych matek, które wołając, wabią każda pszczoły do siebie, i tak pomiędzy pszczołami utworzą się stronnictwa i każde do swéj matki się przywięzuje. Przyłożywszy na wieczór ucho do ula, z wołania matek przekonać się można, czy się pszczoły na drugi dzień roić będą. Jeśli się zaś pszczoły nie chcą roić, wtenczas najpierw wylężoną matkę polubią, a inne, zrobiwszy w matczakach na boku otwór, wyrzucają, a gdyby się już więcéj matek było wylęgło, wtedy je zagryzą lub z ula wypędzą.

Obrana matka prędzéj na grę nie wylatuje, dopóki nie jest sama panią w ulu. Tylko zawsze jedna płodna matka w ulu znajdować się może. W parę dni po zapłodnieniu nieść zaczyna. W sierpniu zapłodnione matki już tego roku nieść nie lubią. Można je do tego przynaglić, żywiąc pszczoły parę dni rozrzedzonym miodem. Na końcu sierpnia i nieco później wylężone matki, kiedy już mało trędów się znajduje, nie tak łatwo się zapłodnią, a nareszcie wcale wylatywać nie chcą. Trzeba je wtenczas przynaglać do przegrywania, dając pszczołom w ciepłe dni około południa miodu rozrzedzonego. Początkowo matka tylko na pszczoły robocze sadzi.

Stare matki, które płodność swą już wyczerpały, prawie tylko na trędy niosą. Skoro się spostrzeże, że rój słabnieje, że matka nieregularnie i po więcéj jak jedném jajku w komórkę niesie, że ma wiele trędów i tylko komórki na trędy robi, zaraz mu matkę starą wziąć i do innéj dopomódz trzeba. Nie wszystkie matki jednakowo są płodne; zwyczajnie 2 do 3 lat są zdatne do chowu. Starszéj matki nad 3 lata cierpieć nietrzeba. Matka zwłaszcza zapłodniona, jest podługowata, ma chód poważny, nóżki, a czasem i tyłek brunatny, a małe skrzydełka.

2. *Pszczoły robocze* są niewykształcone matki; wylęgają się w dni 21 po zniesieniu przez płodną matkę jajka w komórki mniejsze. Trzy dni po wylężeniu jeszcze siedzą w ulu, aby zupełnie wyrosły i siły nabrały; później pracują w domu, a nareszcie idą w pole po żywność. Młode pszczoły więcéj się za pyłkiem ubiegają; stare, koloru czarniawego, z podartemi skrzydełkami, miód znoszą.

Im *muszniejszy* rój, tém sporzéj mu robota idzie podczas wiosny. Wszystkie prace około wspólnego dobra pszczoły wykonywać muszą; oneto budują plastry, żywią zaród, pielęgnują matkę z największą troskliwością, robią porządek w ulu, strzegą go od rabusiów, i o ile są w stanie, od wszystkiego, co im szkodzić może; zgromadzają wszystko im potrzebne. Pracują wszędzie, zawsze, kiedy i gdzie tylko robota się nadarzy. Dlatego też rychło siły swe wyczerpią, bo zaledwie 9 miesięcy żyją. Miód i wodę znoszą w osobnym żołądku, a pyłek kwiatowy (tak nazwaną robotę) i *pierzgę* (żywicę do zalepiania skał w ulu) na tylnych nóżkach. Mają nadzwyczaj dobre powonienie, dlatego też i o milę daleko miód i dobrą paszę poczują. Są bardzo mściwe, za każdą wyrządzoną psotę boleśnie żądlą. Nietrzeba je drażnić, tém mniéj gnieść, ale wszystko około nich robić z największą spokojnością. W mocnym roju jest ich około 50 tysięcy.

3. *Trędy* czyli *trutnie* nie mają żądeł, są większe i grubsze od pszczół; przeznaczeniem ich jest zapładniać młode matki, dlatego też tylko w ciepłych miesiącach, w dni pogodne, około południa latają, kiedy także młode matki na grę wychodzą. Na jesień, lub kiedy pasza w polu ustaje, każdy rój, płodną mający matkę, trędy swe wypędzić powinien. Rój, mający późno trędy, kiedy ich inne ule zdrowe już nie mają, albo wcale żadnéj, albo złą ma matkę, zmarnieje i niewart przezimowania, chyba, że jest mocny i że mu się da inną zapłodnioną matkę, wyrzuciwszy wpierw, jeśli jest, niezapłodnioną. Trędy wylęgają się w dni 24 z większych komórek, począwszy od środka maja do końca lipca. Starać się trzeba, aby w ulu mało roboty na trędy było.

Sprostowanie.

W nr. 36 na str. 286 w 19 wierszu drugiéj szpalty, zamiast Zygmunta II, ma być III.

W druk. J. Unger—Wolno drukować. Warszawa d. 26 sierpnia (7 września) 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*